

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

15

(Ciąg dalszy).

Podniosłem się i stanąłem naprzeciw niego, uczy-
niłem nad sobą wysiłek, by pozostać spokojnym
i zapytałem obojętnym głosem:

— I przybyłeś tutaj, mój synu, jedynie, by mnie
ocalić?

— Przybyłem tutaj — odparł z zaciśniętymi ku-
łakami, z nacięzonymi mięśniami twarzy — by oca-
lić Lucyę Weill!

— Nie uda ci się to! — rzekłem mu stanowczo.

— Uda mi się! — odpowiedział dumnie... Nie
robię sobie iluzji co do pojedynku, jaki się między
nami wywiąże. Wszystkie twoje wysiłki zdążają do
ocalenia Teddy i w interesie twoim leży oskarżać
Lucyę!... Ja jednak będę tutaj, by oskarżać Z...
a nie zapominaj o mem znaczeniu, jako lekarza alye-
nisty i o wyznaniu Eweliny...

Nie panując nad sobą, podbiegłem do Williama,
schwyciłem go za rękę i przyciskając go do swej
piersi, zawolałem:

— Ty nie uczynisz tego, Williamie!... Dziecko
drogie, zabraniam ci czynić to!... Nie masz prawa
korzystać z sekretu Eweliny!

William oswobodził się z mego uścisku... Odsu-
nął się na kilka kroków, nie spuszczał jednak ze
mnie swych oczów, potem rzekł powoli:

— Ach, tak! sekret Eweliny jest więc zarazem
i twoim sekretem?

Razony tym celnym strzałem, pozostałem bez
odpowiedzi...

William wołał w podnieceniu:

— Bywają chwile, gdy wątpię, czy ty rzeczy-
wiście jesteś Brentano... tak Brentano, przyjaciel
Nelly Burlington, mej ukochanej matki!... Bywają
takie straszne chwile, jak ta... gdzie wszystko skła-
nia mnie do uważania cię za ojca, ale nie mego,
lecz kogoś innego... tak, Jonatanie!... Przez miłość
dla Eweliny powiedz mi prawdę!... Kim ty jesteś?...

Jakiś straszny ból ścisnął mnie za piersi...

William Duncan przerwał jednak swe wyznania...
Oczy swe odwrócił ode mnie... Opuścił powieki, pa-
trzył na podłogę, przyglądał się dywanowi i nagle,
nie mogąc potamować swego wzruszenia, wybuchł:

— Przebac mi, mój ojcie!... Ach, Jonatanie,
przebac mi te głupie przypuszczenia!... Ja nic, nic
nie wiem sam... Ja nie wiem nic!... Wybacz mi,
żem sprawił ci tę przykrość!

I wyciągnął ku mnie swe ręce. Przycisnąłem go
znowu do swej piersi i ucałowałem czule... Pojedyn-
nek więc nasz miał zakończenie, jakiego ani nie przy-
puszczaliśmy, ani o jakie nie staraliśmy się! Jeże-
libym w tej najtragiczniejszej chwili swych tragi-
cznych przygód miał choć trochę przenikliwości, uj-
rzałbym mógł położenie swe w prawdziwym świe-
tle!... Po upływie półtora roku powtórzyła się znowu
sytuacja, w jakiej się już znajdowałem po pier-
wszym morderstwie Polidora.

Powróciliśmy do punktu, skąd zaczęła się nasza
awantura. Wszystkie nasze postępy i czyny okazały
się daremnymi. Wszystkie szczęśliwe i nieszczęśliwe
wypadki, jakie przeżyliśmy od tego czasu, pozostały
bez wpływu na nasz los. I siedząc teraz w gabi-
necie swym, w pałacu przy 34 avenue pod nazwis-
kiem Jonatana Brentano, byłem tylko rzeźbiarzem
Barrabasem z przed półtora roku, klęczącym nad
zwłokami swej żony, Gabryeli!...

Położenie powtarzało się w jednakowych sytua-
cjach i przy udziale tych samych osób, Polidora
i Lucyę Weill. Zmieniły się tylko zewnętrzne wa-
runki. Nie mogłem się już chwycić dawnych pomy-
słów, by ocalić Polidora, Teddy bowiem siedział już
w więzieniu, oskarżony o zabójstwo Joego Duncana!...
Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaufać po-
mysłowości pana Tecka, który połączył się z obrońcą
mego syna i szukał wszelkich sposobów, by uchro-
nić go od haniebnej śmierci prądem elektrycznym!...
Ostatnim sposobem było przekupienie sędziów i tego
środku zaczęli używać adwokaci. Z drugiej strony
William i obrońca Lucyę rywalizowali w gorliwości,
by ocalić swą klientkę! Wychodziło jednem słowem
na to, że miliony zamordowanego służyły obecnie
do oswobodzenia jego zabójców! Ja jednak zdawa-
łem sobie sprawę z tego, że nie stało już tego, kto
nas wyprowadził z wszelkich niebezpieczeństw i że
Polidor, zabijając Joego, postąpił jak ten głupiec
z bajki, który z obawy przed kradzieżą zabił kure
znoszącą złote jaja. Teraz staliśmy wszyscy wobec

losu jak pajace bez woli, zabrakło bowiem ręki,
która nami kierowała.

Pau Teck, który nie przestawał wyciągać ode-
mnie coraz to nowych sum, (zdaje mi się obecnie,
że wszyscy trzej adwokaci zmówili się, by obdrzeć
mnie i Williama ze skóry), przybył pewnego ranka
do mnie i zawiózł mnie do więzienia, w którym był
zamknięty Polidor. Powiedział mi, iż za cenę złota
kupił milczenie dozorczy i że mogę obecnie porozma-
wiać ze swym adoptowanym synem, czego sędzia
zabraniał mi dotychczas... Można wyobrazić sobie
moją radość z tego powodu.

— A gdybyśmy tak urządzili plan ucieczki? —
rzekłem.

— Nie można nawet i myśleć o tem — odpo-
wiedział Teck. — Niech pan będzie zadowolony z tego
pierwszego rezultatu mej przedsiębiorczości.

I weszliśmy do więzienia, które było potężnym
i ponurym gmachem, stojącym na brzegu Hudsonu.
Zacząłem nabierać nadziei! Wreszcie mogę zobaczyć
się ze swym dzieckiem, pocieszyć je, uspokoić, wlać
weń trochę otuchy. Spodziewałem się, że zastanę
Polidora przybitego, nękanego wyrzutami sumienia
za swój wstrętny czyn. Przypuszczałem, że wcho-
dząc do jego celi, będę miał ten sam widok, jakie-
go już raz zastałem, gdy patrzył na niego w do-
mu zdrowia Williama! Zamiast jednak tego, zna-
lałem się w obecności uśmiechającego się swobodnie
chłopca, który przyjął mnie z miną prawie wesołą,
z żywymi oczami, z rękami serdecznie ku mnie wy-
ciągniętymi...

Pau Teck usunął się, mówiąc:

— Ma pan, master Brentano, tylko kwadrans
czasu przed sobą!

I wyszedł z dozorcą, pozostawiając nas samych...

— Ojcie mój, jakże się cieszę — zaczął zaraz
Polidor — że jeszcze raz jeden mogę cię widzieć!
Nie mamy czasu do stracenia na próżne gadanie...
Siadaj i dozwól mi mówić... Wiem od swego o-
brońcy, jakie wysiłki czynicie z Williamem, ty
ocalić mnie, William, by ocalić Lucyę! Jesteście je-
dnak jednakowo naiwni!

— Dlaczego jednakowo naiwni, moje dziecko?

— Ponieważ wyrzucacie napróżno wielkie su-
my!... Gdybyś dał mi te pieniądze w Filadelfii, nie-
by się z tego nie stało. ...Nie czas jednak użalać
się nad przeszłością, co się stało, to się nie odstanie
i ani ja, ani ty, ani nikt na świecie nie może
już tego odwrócić!... Pozwalają mi tu palić... Chce
ojciec palić?... Jest to papieros z dobrego mary-
landu.

Stałem zdumiony jego swobodą, jego spoko-
jem...

— Zastanów się, mój nieszczęsny synu!... Nie
chodzi tu o Lucyę Weill!... Chodzi o ciebie tylko,
którego chcę ocalić za wszelką cenę!

— Masz w takim razie czas do tracenia! — od-
parł Polidor obojętnie.

I po zapaleniu papierosa zaczął mówić spokoj-
nie, bez żadnej trwogi, nie spiesząc się:

— Przedewszystkiem chodzi zawsze o Lucyę
Weill!... Powiedziałem, że William jest naiwnym,
chcę ocalić Lucyę nieskutecznymi środkami... Jest
tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby u-
wolnić Lucyę, nie wydając na to ani jednego dola-
ra... tym człowiekiem jestem ja... Tę jedyną wyż-
szość mam nad Williamem Duncanem i jej nie u-
stąpię... By ocalić Lucyę, przyjmuję na siebie całą
odpowiedzialność... Powiedziałem już sędziemu i po-
wtórzyć to przysięgłem, iż Lucyę nie przyjmowała
najmniejszego udziału w tem zabójstwie milionera,
ani w jego uplanowaniu, ani w wykonaniu, iż nie
wiedziała wcale o mych zbrodniczych planach i że
jest biała jak gołąb... Widzisz więc, ojcie, że Wil-
liam swą szpadą dziurawi tylko wodę i jak głupiec
wyważa siłą otwarte drzwi.

— Lecz ocalając w ten sposób tę przeklętą
dziewczynę, sam się gubisz stanowczo... Usuwasz
wszelkie okoliczności łagodzące, które cię chce cię
bronić twój adwokat.

— Takim już jest moje postanowienie — po-
wtórzył stanowczo Polidor — i dlatego powiedziałem,
że jesteś tak naiwny jak William; uparteś się
wyrzucać bez miary pieniądze, które zebrał Joel!

— Polidorze — zawolałem — będę miał jeszcze
jeden środek, by ocalić cię mimo twych chęci!...
Twój adwokat będzie dowodził twego pomieszania
zmysłów i twej niepoczytalności! Jest nadzieja, że
to wpłynie na przysięgły. Precedensy z twego
życia...

— Precedensy! — przerwał mi z goryczą —
właśnie z powodu tych precedensów chcę z sobą
skończyć... Dosyć już mam tych wszystkich odpo-
wiedzialności i aby im nie podlegać, pragnę cię
zwolnić z przysięgi, którą złożyłeś przy zwłokach
mej drogiej matki.

Powstał i zaczął przechadzać się po celi.

— Tak — mówił dalej spokojnie i bez wido-
cznego wzruszenia — ty nie rozumiesz, iż dobrze
jest, bym umarł, iż koniecznem jest, bym umarł!...
Czegóż ja więcej mogę oczekiwać od Lucyę Weill,
mej ukochanej towarzyszki, która mi dała już za-
żyć nadziemskich rozkoszy? Doszedłem do szczytów
miłości... byłem najszczęśliwszym z ludzi!... Niczego
już więcej nie mogę się spodziewać ani od życia,
ani od miłości, ani od Lucyę Weill, która jest ży-
ciem i miłością!... I ty chciałbyś, żebym ja dla ja-
kichś drobnostek albo z bojaźni przed karą, która
mnie oczekuje, zgodził się żyć jeszcze?... Żyć tem
marnem, nędznym życiem bez przyjemności, bez
wrażeń, a może z wyrzutami i napewno z żalem!
Nie! nie! byłoby to szaleństwem! Byłem nadziem-
sko szczęśliwy i chcę też umrzeć szczęśliwy!... Od-
powiednia chwila albo teraz nadeszła, albo już jej
nigdy nie będzie!

I Polidor zatrzymał się nagle przedemną, uśmie-
chnięty.

— A przytem mam jeszcze dług! — rzekł po-
ważnym głosem...

Rzucił papierosa na podłogę i mówił dalej:

— Mam dług... dług, który zaciągnąłem wzglę-
dem ciebie i względem mej biednej matki! Nigdy-
bym zapewne nie znalazł już okazji do spłacenia
go! Tłum może widzieć w mem skazaniu na śmierć
i w egzekucji tylko słuszną karę za zbrodnię przy
34 avenue! My dwaj, mój kochany ojcie, będziemy
widzieli w tem co innego!... My będziemy widzieli
to, co istotnie spoczywa w głębinach tego wszyst-
kiego... logiczne dopełnienie się losu Polidora Bar-
rabasa, zgodnego z jego tajemnymi życzeniami...
Czyż nie oznajmiłem ci ojcie, po... wypadku w Bry,
że samobójstwo me nie byłoby dostateczną karą?...
Czyż nie powiadomił cię Z... w swej celi nr. 13
o wzgardzie, jaką ma dla wszystkiego, co nie jest
Lucyą Weill?... I ty chcesz, by w tej jedynej chwili,
kiedy mój prawdziwy los się dopełnia, Teddy Bren-
tano był tak poły i dbał o życie, jak Polidor Bar-
rabas!... Bądź tak odważny, mój ukochany ojcie,
jak nim jest twój syn!... Czyś nigdy jeszcze w ży-
ciu nie zaznał tego szczęścia, by patrzeć prosto
w oczy śmierci?... Czy mam ci powtarzać, że twój
prawdziwy syn Polidor umarł przed półtora rokiem
po wypadku, jaki się mu zdarzył z jego matką, że
sam sobie wymierzył sprawiedliwość, jak to uczynić
był powinien, topiąc się w Marnie!...

...Z oczu płynęły mi gorące łzy... Wyciągnąłem
rękę do Polidora...

— Żegnaj, mój synu — rzekłem. — Może ty
jeden masz rację. Przebaczam ci, jak i matka mu-
siała ci już przebaczyć!... Żegnaj!

...Pan Teck i dozorca położyli koniec naszym
czułościom...

— I cóż? — zapytał mnie adwokat, gdyśmy
opuszcili progi więzienia. — Dodał mu pan nadziei?

XVIII.

— Jonatanie! — rzekł mi William Duncan przy
wyjściu z pierwszego posiedzenia sądu — oddasz
mi tę sprawiedliwość, iż w zeznaniach swych zachowa-
wałem niezwykłą dyskrecję... Nie chciałem obciążać
Teddy z dwóch względów. Po pierwsze, ten nie-
szczęśliwy jest, jakby to nie było, bratem mej żony
i wyjawiając jego prawdziwe nazwisko, rzuciłbym
cień niesławy na nią i na dwoje moich dzieci... Za-
stanawiałem się nad tem. Lepiej będzie, gdy ten
nieszczęśliwy spłaci swe długi względem społeczeń-
stwa pod przybranym nazwiskiem!... Ten pierwszy
jednak względ, który okazał się koniecznym, choćby
tylko dla zachowania w czystości naszego honoru,
ustępuje, zdaje mi się, miejsca drugiemu...

— Jakież to ten drugi względ?

— Czysto uczuciowy! Pojmujesz dobrze Bren-
tano, że tak ja, jak i ty, nie mamy najmniejszego
prawa być sędziami Polidora Barrabasa, zabójcy
swej matki! Co zaś się tyczy Teddy, mordercy kata
Nelly Burlington, to ja nie mogę mieć do niego
żadnego żalu osobistego... Nawet raczej powinienem
żywić coś wręcz przeciwnego!... Rachunki do zała-
twienia mogę mieć jedynie z mężem Lucyę Weill!...

— Ciągłe powracasz do tej ordynarnej wspól-
niczki!...

— Bo ją kocham ciągle! — odparł William
energicznie... Mylłem się co do mych własnych u-
czuć!... Łudziłem się iluzjami, jak ty, jak Marca-
dian, wuj Eweliny... i dzisiaj doświadczam tylko
ogromnych wyrzutów, że poddałem się obcym wpły-
wom, które mnie sprowadziły z drogi, jaką sobie
wytknąłem!

W chwili tej wchodziliśmy do cabu, który cze-
kał na nas przed pałacem sprawiedliwości... Zatrzy-
małem się, stojąc już nogą na stopniu...